

Połowa lata, Pogórze

Andrzej Stasiuk

O czwartej nad ranem noc powoli unosi czarny tyłek jakby ożarta wstawała od stołu i szła spać. Powietrze jak zimny atrament spływa asfaltowymi drogami i gdzieś tam na samym dnie dolin rozlewa się i krzepnie w czarne bajora. Jest niedziela, ludzie jeszcze śpią i w tym opowiadaniu powinno zabraknąć fabuły, bo przecież żadna rzecz nie może przesłaniać innych rzeczy gdy zmierzamy ku nicości, ku stwierdzeniu, że świat jest jedynie chwilowym zakłóceniem w swobodnym przepływie światła. Lutcza, Barycz, Harta, Mały Dół, Tatarska Góra, spłowiełe zielone drogowskazy pokazują kierunki lecz tam nie dzieje się nic, nic się nie porusza prócz snów, które jak koty albo jak nietoperze widzą w mroku i krążą muskając ściany i święte obrazy, pajęczyny i co tam kto jeszcze przez lata nagromadził. Słońce tkwi jeszcze głęboko, draży inny świat lecz za godzinę wyjdzie na powierzchnię, wydostanie się jak kołatek ze starego drewna. Warkot samochodu słychać pewnie na wiele kilometrów. Szosa biegnie grzbietami wzgórz, opada, znów się wspina, za każdym razem wyżej i wyżej i w tej niepełnej ciemności sprawia wrażenie spiralnej pnącej się w przestrzeni Wieży Babel. O tej porze niebo ledwo oddziela się od ziemi, granica nie jest jeszcze ustalona; to tylko inne rodzaje mroku w którym może hulać wyobraźnia. Lecz cóż takiego może sobie wyobrazić człowiek, cóż oprócz tych wszystkich rzeczy, które wcześniej widzieli w tym miejscu inni ludzie, rzeczy banalnych, złożonych z zamazanych i mdłych kształtów rzeczywistości; to tylko ograniczona odmienność kurzej ślepoty, tylko komedia głuchego telefonu. Wzrok ociera się o chłodne, ciemne i wilgotne barwy tak samo, jak dłoń o gładki aksamit, o ciepłą podszewkę palta gdy na dworze ziąb, tak samo bezmyślnie i z taką samą przyjemnością.

Nie będzie fabuły, nie będzie historii, zwłaszcza w nocy gdy przestrzeń pozbawiona jest orientacyjnych punktów, gdy jedziemy z Rogów do Równego i dalej przez Miejsce Piastowe podróżujemy pomiędzy nazwami w roztworze czystej idei. Rzeczywistość nie stawia oporu więc wszystkie stare wierne małżeństwa przyczyny ze skutkiem są jednakowo pozbawione znaczenia.

Kombornia. Skąd biorą się te nazwy? Jak wiele czasu minęło od chwili gdy miały jakikolwiek sens. Podniebny parkot samochodu przypomina pyrkot maszyny do szycia. Ciemność rozłazi się w szwach i fastryga podróży na nic się nie zda. Horyzont na wschodzie jaśnieje jak srebrny wąż który spoczął wyciągnięty na szczytach pagórków. Ta zimna barwa zapowiada skwar i kurz i trzeba się spieszyć, wspinać na te znieruchomiłe fale, ześlizgiwać się w dół, na dno martwego morza gdzie domy otrząsają się z mroku jak psy z wody, bieleją jak czaszki w czarnych okularach. I oni wszyscy tam są. Leżą na wznak, na boku, plecami do góry i śnią swoje sny spoceni albo spokojni, przykryci albo w skopanej pościeli, niektórzy w sobotnich ubraniach. Nie mają pojęcia, że ktoś może o nich myśleć, że tym razem ktoś wstał wcześniej. Właściwie nie istnieją. Umysły odpoczywają, choroba życia przycichła i podobni są do kawałków ciężkiej materii, prawie martwej i prawie szczęśliwej. Jan, Stanisław, Florian, Anna, Cecylia – litania do starych świętych. Jeszcze chwila i czas zdmuchnie ich wiatr świeczki. Przeniosą się w minione i nic już im nie zagrozi, żaden wstający świt, żaden upalny dzień. Cienie w mroku. Domaradz. Mgła idzie do nieba, odslania kopy siana, czarne płoty, ostre dachy. Powietrze jest ciemnozielone. Gęste niebo odrywa się od horyzontu. W tym pęknięciu widać blask innego świata i ci co zdychali, ci co umierali myśleli, że idą właśnie tam.

Spadł śnieg i wciąż nie mogą skończyć tego opowiadania. Może pod koniec zimy, gdy wzrok zaczyna ślepnąć z nudy i pragnie jakiejś barwy która nie byłaby bielą.

W końcu pisanie w pewnym stopniu polega na zaspokojeniu tęsknoty za czymś czego brak. Najlepsze książki próbują opisać przecież rzeczy utracone na zawsze. Ale czy tęsknota jest kategorią literacką? Przecież najmocniej tęsknotę odczuwają zwierzęta.

Psy z niej zdychają a koty pokonują dziesiątki kilometrów, nawet ludzie gdy tęsknią mówią, że „usychają” z tęsknoty czyli używają terminu bliższego nawet nie zoologii ale botanice.

Cóż w takim towarzystwie robi John Milton ze swoją hipertęsknotą *Raju Utraconego*?

Zwierzęta i rośliny nie odczuwają czasu. Ich zmysły przystosowane są do rozpoznawania innych rodzajów materii – akurat tych które nie zadają śmierci, a przynajmniej nie zadają jej zawsze, nieodwołalnie i bezwarunkowo. Ich pamięć jest konkretna, obejmuje zdarzenia i uczucia ale nie obejmuje egzystencji, nie jest pamięcią końca. Właściwie z własnego punktu widzenia są nieśmiertelne.

Zmysły człowieka są do niczego. Boimy się ciemności, nasze miasta i domy są coraz jaśniejsze. Wiedną nam uszy, nasza muzyka jest coraz głośniejsza. O wężu lepiej nie wspominać

– potrafimy rozpoznać zapach jedzenia i ulubionego alkoholu a nasze kobiety muszą używać perfum których wyrafinowanie jest wprost proporcjonalne do ceny i w zależności od stopnia uczuciowego zaangażowania jedno albo drugie przyprawia nas o zawrót głowy.

Żeby mieć szanse przeżycia w tym świecie dostaliśmy albo też, jak chcą inni, wykształciliśmy sobie pamięć. Lecz dzięki temu darowi (albo osiągnięciu) staliśmy się jedynymi istotami które żyją w długim cieniu śmierci. Bo jak powiedział lis do Małego Księcia – nie ma rzeczy doskonałych. Owszem, mamy kurę, czyli inteligencję i historię, ale mamy też myśliwego, czyli pamięć końca. Zwierzęta tęsknią w sposób prosty i bezwarunkowy. Pragną powrócić do tego co było dobre. W wypadku ludzkiej tęsknoty można mieć podejrzenie, że jej istotą jest nie tyle poczucie, że kiedyś było lepiej, co uzasadniony strach, że będzie gorzej.

Nic dziwnego, że cofamy się w przeszłość. Przyszłość jest opryskiem w ciemnej ulicy i jeśli nawet wiemy, że spotkanie jest nieuniknione, wolimy odłożyć je na później. Poza utopią hibernacji i śmiesznością makrobiotyki literatura, a zwłaszcza proza, jest na razie najlepszym sposobem gry na zwłokę. Nie obiecuje wprawdzie nieśmiertelności ani zmartwychwstania ciał ale posiada ograniczoną władzę nad czasem. Jej materia jest zawsze przeszłość. Niekoniecznie w sensie tematu. Bo czy można sobie wyobrazić historię, książkę, opowiadanie, powieść napisane albo opowiedziane w morderczym czasie przyszłym? (W literaturze jedynie poezję stać na podobny zabieg, ale poezja jest sztuką heroiczną i jako jedyna chyba nie lęka się śmierci a przynajmniej ów lęk potrafi ukryć w prawdziwie męski sposób).

W prozie wszystko zaczyna się od początku, od wczoraj, od przedwczoraj, albo po prostu w innym czasie, w prozie wszystko jest powrotem i ponownym pokonywaniem odcinka opowieści i czasu. Żeby to wyrazić w sposób bardziej egoistyczny czyli bardziej zrozumiały, można powiedzieć, że proza to życie cudzym życiem czyli czysta oszczędność własnego. W tym sensie literatura (poza poezją oczywiście) jest antytezą modlitwy która zawsze skierowana jest w przyszłość bo tylko ona ma jakieś podstawy, by żywić nadzieję wpływu na to co będzie. Proza zna swoje miejsce. Jest skończenie ziemską. Ale na swój skromny sposób rzuca wyzwanie nieubłaganej linearności czasu i próbuje sprawić, żeby to co było albo być mogło stało się raz jeszcze. W odróżnieniu od modlitwy która chce przebłagać przemijanie i poezji która chce je pokonać, proza usiłuje je przechrzyć. Być może jej naiwność jest dalekim odbiciem średniowiecznej wiary, iż człowiek przebywający w kościele nie osiąga wprawdzie nieśmiertelności ale przynajmniej trochę wolniej się starzeje.

Leży śnieg, wieje z północy, opowiadanie leży od pół roku a ja niczym ambitny krytyk próbuję sformułować definicję natchnienia. Lecz wychodzi z tego jedynie nieprecyzyjna algebra czasu i języka. Z podobnym skutkiem można próbować polizać powietrze. Ale przecież tylko my wiemy jaki będzie koniec i tylko my potrafimy mówić. Konsekwencja, matka paranoi, wskazuje jasno, że w związku z powyższym powinniśmy bezustannie rozprawiać właśnie o końcu. Na szczęście język w bardzo małym stopniu jest dzieckiem konsekwencji. Bo proszę sobie wyobrazić sytuację w której wszyscy piszący mieliby do napisania jeden, i w dodatku taki sam utwór. Taka rzecz mogła by się przyśnić jedynie Borgesowi albo komuś w Ministerstwie Kultury.

Ignacy Loyola powiedział, że rozmowa jest grzechem kiedy jest bezładna. Miał rację. To najskuteczniejszy grzech przeciwko fundamentalnemu porządkowi, porządkowi czasu który jest niezachwiany w swojej prostej drodze od do. Pod tą przyganą gadulstwa tkwi jednak głęboka wiedza o wolności. Bo tam gdzie rozmowa przestaje służyć utylitarnym celom edukacji, wzniosłym celom pouczenia moralnego, w miejscu gdzie przestaje służyć czemukolwiek, gdy zaczyna być czystą przyjemnością czej gadaniny, właśnie tam zaczyna się literatura czyli próba ucieczki przed tym co nieuniknione.

„Aleśmy się zagadały” – mówią dwie panie na rogu. Wystawiły świadectwa wspólnym znajomym, zwierzyły się z chorób i marzeń i przepuściły dwa jadące według nieubłaganego rozkładu tramwaje. Albo dżentelmeni w lokalu za stołem: rozgadani, zasłuchani a na koniec wręcz tonący w żywiole mowy albo i onomatopei. Czas ich omija, opływa jak nurt rzeki opływa wyspę. I dopiero „panowie, już zamykamy” napowrót wtrąca ich w codzienność.

Albo dwaj chłopcy. Wychodzą ze szkoły i jeden odprowadza drugiego a potem wracają pod dom pierwszego i z powrotem i raz jeszcze powtarzają trasę. Snują opowieści w których nie ma jeszcze żadnych przecuć a ich wędrówka przypomina drogę wahałki, tego dziwnego mechanizmu który odmierza odcinek czasu lecz zaraz jakby go przekreślał. W końcu chłopcy rozstają się, każdy wchodzi na swoje schody a w drzwiach czekają na nich matki – „Znowu, znowu spóźniłeś się na obiad”.

Od tego właśnie zaczyna się literatura, od czasu zmarnowanego, od czasu który wykradliśmy bogom, losowi albo po prostu życiu pojętemu jako szereg mniej lub bardziej koniecznych czynności.